



BARBARA LEAHY

OBIETNICA
REMBRANDTA

Przetłóżyła z angielskiego
Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Rembrandt's Promise

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawcy: Katarzyna Masłowska, Wojciech Ciuraj

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Gerard Frydrych

Copyright © Barbara Leahy, 2025

Published by arrangement with Rights People, London

Jacket design by Will Speed

Jacket illustration (woman) © Bridgeman Images

Flowers: Jan Davidsz. de Heem, *Still Life with Flowers in a Glass Vase*, 1650-1683, Rijksmuseum. On loan from the City of Amsterdam (A. van der Hoop Bequest)

Author photograph © Claire O'Rorke

Copyright © 2026 for the Polish edition

by Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-691-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

*Mamie i pamięci Taty,
z wyrazami ogromnej miłości*



I

Amsterdam *marzec 1642*

O brzasku budzi mnie dłoń położona na moim ramieniu. Wzdrygam się pod dotykiem i odrywam plecy od twardego oparcia krzesła.

Pochylający się nade mną ze świecą w dłoni Pieter śle mi powściągliwie przychylnie spojrzenie.

– Jesteś gotowa, siostrze. Doskonale. Już czas.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc.

Przy drzwiach Pieter się schyla, aby wzuć buty. Na moment znów zagłębiam się w bezpieczne objęcia krzesła, lecz on zaraz na mnie zerka, a ja wiem, że nie zniosę dzisiaj żadnej przygany. Wstaję i prostuję się, wyciągając ręce wysoko. Palcami muskam pióra gołębi zwisających z krokwi.

Prędko cofam dłonie.

Zeszłej nocy siennik zadrapał mi skórę i ścieniał pod moimi plecami do tego stopnia, że równie dobrze mogłabym spać na gołej ziemi. Z zewnątrz dolatywały odgłosy kapania śniegu roztopiającego się na dachu. Leżąc bezsennie, zastanawiałam się, w jakim domu wkrótce

się znajdę, kogo w nim spotkam. Minęła wymęczona godzina, po niej kolejna, aż w końcu się poddałam, zaślałam łóżko, włożyłam odzienie i usiadłszy przy kominku, rozpocząłam oczekiwanie.

Przez koc zakrywający okno prześwieca niebieskawy blask. Dopinam na sobie kubraczek i wsuwam stopy w zawilgłe trzewiki. Wszystko, co posiadam, znajduje się w chuście wiszącej przy kominku. Zarzucam tobołek na ramię. Torf, którym napaliliśmy wczoraj, zamienił się w popiół, sięgam więc po cebrzyk i pogrzebacz, ale zaraz mi się przypomina, że przecież odchodzę z domu i odtąd to Marit będzie musiała pilnować ognia.

Pieter wkłada wełnianą pelerynę i tak przyszykowany maca na oślep za swoją fajką i tytoniem, które zawsze odkłada na półkę. Zza kotary oddzielającej przeciwniegi kraniec izby dolatuje ukontentowane pochrapywanie jego żony. Pieter przykładą palec do ust. Nie będzie pożegnania z Marit.

To dobry znak, uznaję. Nie pora na złe omeny.

Na zewnątrz mroźne marcowe powietrze wyciska ze mnie dech. Szara breja pokrywająca ziemię moczy mi stopy. Pieter z chlupotem brnie przez błoto. Śpieszę za nim, żeby nie stracić z oczu niesionej przez niego lampy – przynajmniej dopóki nie dotrzemy na rynek.

Spomiędzy szeregu lokali z zamkniętymi na cztery spusty okiennicami wyróżnia się piekarnia, w której już rozpalili w piecu. Gdy ją mijamy, dolatuje nas woń świeżego chleba. Przez uchylone drzwi widzę zwieszane z drewnianych kołków sploty złocistych chałek. Nieomal czuję w ustach smak posypanej cukrem skórki, słyszę jej chrupanie w zębach. Może Pieter się zatrzyma, aby coś mi kupić. Ale mój brat rażno maszeruje przed siebie, a ja nie śmiem go opóźniać. Kątem oka dostrzegam jeszcze przyjazną zaczerwienioną twarz piekarza, który wystawia na parapet parującą formę do ostygnięcia. Macham mu, lecz mnie nie zauważa. W Rarep jestem niecałe trzy tygodnie. Kto tu będzie o mnie pamiętał, kiedy odejdę?

Kilka kroków przede mną Pieter przystaje i kołysze lampą w moją stronę. Podbiegam, aby się z nim zrównać. Ma na sobie zbyt porządną pelerynę jak na warsztat stolarski. Wieczorem Marit strzepnie trociny z jego ramion i będzie psioczyć, że zabrudziły podłogę. Ostatnio mój brat nieźle zarabia dzięki pracy przy statkach handlowych – jeśli szczęście będzie się go dalej trzymać, przeniosą się z Marit do lepszego mieszkania przed narodzinami ich pierwszego dziecka.

– Przypominam ci, Geertje, że udajesz się do szanowanego domu.

– W żadnym innym nigdy nie mieszkałam – odpowiadam ostro i natychmiast tego żałuję.

Gdyby nie on, byłabym nędzarką. Łzy szczypią mnie w oczy.

Pieter chrząka.

– Mąż cię nie zabezpieczył – przypomina mi. – Cały ciężar utrzymania spadł na mnie, a ja nie jestem zamożnym człowiekiem.

Chcę zarzucić mu niesprawiedliwość, chcę powiedzieć, że Abe był porządnym mężczyzną i że to nie jego wina, iż zmarł, kiedy zmarł. Ale gdy zaczęły się moje kłopoty, to Pieter załatwił mi posadę u Beetsów w Hoorn. I to Pieter wziął mnie do siebie, gdy po siedmiu latach żona kupca drzewnego powiedziała mi, że nie potrzebuje dłużej moich usług. Nie myślałam o niczym poza opieką nad tymi dziewczynkami i chłopcami. Jak mogłam zapomnieć, że dzieci dorastają?

– Jesteś dobrym bratem, Pieter. Masz moją wdzięczność.

– W mieście na pewno nadarzy się okazja, żebyś poprawiła swoją sytuację. Tylko pamiętaj, szukaj jej poza domostwem nowego pana. Nie będzie patrzył przychylnie na twoje swawole z jego uczniami.

– Nie jestem swawolna – protestuję.

Kiedy zbliżamy się do zabudowań gospodarskich, nad polami ścieli się srebrzysty świt. Dwaj mężczyźni ładują na wóz skrzynki z warzywami. Pieter wita się z nimi i przekazuje im zapłatę za moją podróż.



Pobrzękuje końska uprząż. Konie parskają, nozdrzami wypuszczając obłoki pary. Pod okapem chałupy stoją okutana gospodyni i parobek, oboje grzeją dłonie nad piecykiem z żarzącymi się węglami.

Drzę.

Pieter wyjmuje fajkę.

– Masz miesiąc, żeby się wykazać. Nie zrób ze mnie głupca. To ważni ludzie. – Kciukiem ugniata tytoń.

Mężczyźni już prawie skończyli ładowanie. Jeszcze chwila i parobek da znak, Pieter obróci się i odejdzie. Będzie za późno, abym mogła zmienić zdanie.

– A jeśli pani mnie nie polubi?

Pieter wybucha śmiechem.

– Polubi twoją pospolitą twarz, na którą nie zwróci uwagi jej mąż, tak samo jak twoje silne ramiona, które zniosą wiele godzin niestrudzonego wysiłku bez omdlewania.

Obejmuję ciaśniej tobołek.

– Czeka cię dobre życie, siostró – dodaje Pieter łagodniejszym tonem. – Twój nowy pan jest bogaty. Kolekcjonuje dziwy z całego świata.

– Będę jego najświeższym nabytkiem – dopowiadam, a on się uśmiecha jak za dawnych lat, kiedy uczył mnie budować tamy na strumieniu płynącym za chatą, w której dorastaliśmy. Momentalnie jednak poważnieje, jakby żałował, że pozwolił sobie okazać beztroskę.

– Nie mów nic o utraconym dziecku. Powiedziałem mu, że chłopiec rośnie zdrowo pod okiem naszej matki w mieście Edam.

Nie jestem w stanie myśleć teraz o tamtej drobnej twarzyczce, o oczkach zamkniętych pod czepkiem, o rączynach skulonych na wątłej piersi.

Parobek daje znak; pozostali pasażerowie zaczynają zajmować miejsca na wozie.

Pieter podsadza mnie, a następnie podaje mi tobołek. Siadam na skrzyni obok staruszki o zaciętym obliczu, która trzyma na kolanach

kosz z jajkami. Konie mamy za plecami, pożegnaj więc spojrzeniem Rarep, ale przegapię pierwsze widoki Amsterdamu.

– Marit i ja będziemy się za ciebie modlić – oznajmia Pieter, a ja omal nie wybucham śmiechem na myśl o jego wymagającej żonie, która na klęczkach prosi, aby powodziło mi się dobrze w życiu.

Czuję szarpnięcie, słyszę skrzypienie kół i Pieter zostaje w tyle. Na wpół się unoszę, aby mu pomachać, lecz on już zdążył się odwrócić i właśnie próbuje zapalić fajkę od żarzących się węgli.

Jeden z mężczyzn, którzy ładowali wóz, a teraz siedzą na gołych deskach, opiera łokcie na kolanach i zaczyna ucztować – na śniadanie ma chleb, ostry ser i piwo. Pijąc, mlaszcze z zadowolenia. Po paru łykach oferuje dzbanek staruszce, która sztywnieje i arogancko wiedzie spojrzeniem ponad polami. Mężczyzna tylko się szczerzy i niezrażony podtyka mi dzbanek, a mnie ogarnia nagle tęsknota za Hoorn i tamtejszymi przyjaznymi, ogorzałymi robotnikami portowymi. Kręcę głową z uśmiechem i odwracam wzrok. Nie mogę zjawić się pod dachem nowych państwa cuchnąca piwem, woniejąca mężczyzną.

Wioskę ledwie już widać. Droga wiję się teraz pomiędzy moczarami. Przysmykam oczy, poddaję się rytmowi kopyt, nasłuchuję muczenia bydła na pastwiskach, smakuję mgliste powietrze, które oblepia mi twarz. Gdy unoszę powieki, jest już jaśniej. Z rzadka rozrzucone gospodarstwa, stodoły i młyny ustąpiły miejsca ogródkom warzywnym, kościelnym dzwonnicom, składom drewna. Jak odnajdę się w obcym mieście? W myślach powtarzam wskazówki Pietera, jak dojść do domu malarza. Słowa te uspokajają mnie niczym modlitwa.



2

Gdy docieramy na skraj miasta, mgła zaczyna opadać. Słońce sięga bladymi palcami ku ziemi, lecz nie oferuje wiele ciepła. Staruszka obok opatula się ciasniej peleryną, zakrywając nią brodę. Mężczyzna, który skończył już jeść i pić, skrzyżował nogi w kostkach i wyjąwszy nóż, przycina sobie paznokcie. W pewnym momencie przechwytuje moje spojrzenie i puszcza do mnie oko. Pośpiesznie się odwracam.

Jedziemy wzdłuż kanału, po którego spokojnych wodach suną pełne ludzi *trekschuiten** ciągnięte przez konie. Za okienkami kabiny dostrzegam grupki rozradowanych pasażerów, którzy umilają sobie czas grą w karty, śpiewem i piwem. Oczyma wyobraźni widzę, jak płynę w równie komfortowych warunkach kanałem w Edamie podczas wizyty u matki, zakładając oczywiście, że pod dachem nowych państwa zasłużę na przyzwoite zarobki.

Odkad nawierzchnia się poprawiła, koła wozu obracają się szybko. Wokół pną się okrętowe maszty, przecinające niebo i krzyżujące się na jego tle ponad dachami magazynów. W morskim powietrzu czuć woń rozgrzanej smoły. Składy drewna pełne są robotników najemnych

* *Trekschuit* (nid.) – barka holowana z brzegu, prekursor nowoczesnego transportu publicznego, zwykle o stałym rozkładzie jazdy. L. mn.: *trekschuiten*.

– jedni piłują pnie, drudzy dźwigają pocięte kłocę. Nadzorcy wykrzykują rozkazy, aby przebić się ponad ogólny rejewach.

Wjeżdżamy na most, z trudem pokonując pochyłość. Kiedy czuję, że znaleźliśmy się w najwyższym punkcie, obracam się i widzę skupisko wieżyczek z czerwonej cegły, sięgających nawet wyżej od kominów. Przypominam sobie szeptane przez matkę opowieści o dawno zatopionym zamku, którego widmowe dzwony biją na darmo.

– Co to takiego?

Mój zalotnik wygląda na rozbawionego.

– De Waag*. Cóż to, nigdy nie byłeś w Amsterdamie?

Postanawiam nie pytać o nic więcej.

Mijamy plac, na którym budowniczowie wysoko na rusztowaniach wbijają w ziemię ogromne drewniane pale. Dudnienie sprawia, że cały wóz drży, a my razem z nim.

Ulice stają się węższe. Stojące ciasno domy, dwu- i trzykondygnacyjne, nachylają się ku sobie, jakby plotkowały o tych, którzy przejeżdżają między nimi. Jak ktokolwiek może wieść spokojne życie w mieszkaniu położonym w tak ruchliwym miejscu? Nad frontami lokali wiszą malowane szyldy, obwieszczając wszem wobec, gdzie pracuje rękawicznik, dokąd udać się po tytoń, u kogo można kupić wino. Muszę to wszystko spamiętać, by opisać miasto Trijn, jeśli kiedyś jeszcze odwiedzę kuzynkę z Edamu.

Z tawerny wytacza się para – marynarz i śliczna dziewczyna – ledwie trzymająca się na nogach. Przystają chwiejnie nad brzegiem kanału, chichocząc na widok młodzika, który zwraca posiłek prosto do wody.

Gdybym nie wyszła za Abego, pewnie nadal pracowałabym w karczmie w Hoorn, pośród dymu z fajki i zapachu słoðu, wesołej muzyki i temperamentnych marynarzy. Ale nie, nie wolno mi myśleć o tamtych czasach. Zdaniem Pietera ani malarz, ani jego żona nigdy nie daliby wiary, że karczmareczka pozostała szanowaną kobietą.

* De Waag – budynek Wagi Miejskiej w Amsterdamie.

Dzwony kościelne rozbrzmiewają w całym mieście. Ich proste tony przepelniają mnie nadzieją.

Jesteśmy już chyba blisko Nieuwmarkt. Wesołkowaty kompan podróży żongluje orzechami w powietrzu, chwytając je i rozłupuje w zębach. Zacięta staruszka śledzi palcem gęsty druk modlitewnika, poruszając przy tym bezgłośnie wargami. Litery są ściśnięte, nie rozpoznaję żadnej z nich; w niczym nie przypominają tych, które jako dziecko haftowałam na gałganku i podtykałam Pieterowi, żeby mi przeczytał.

Wóz oddala się od kanału, bierze zakręt i wtem na naszej drodze staje niczym forteca De Waag z wieżyczkami strzelającymi w niebo. Łapię się krawędzi skrzynki, która służy mi za siedzenie.

Wesołek się szczerzy.

– Bez obaw, twój mąż na pewno na ciebie czeka.

Chcę odpowiedzieć, że nie mam już męża, że mój dom leży daleko stąd i że tu, w mieście, nikogo nie znam, ale on już wychyla się za burtę, by wyrzucić łupiny na ulicę.

Mijamy budynek Wagi Miejskiej i parę chwil później wyjeżdżamy na Nieuwmarkt. Plac jest wypełniony straganami i kramami, tak że z najwyższym trudem udaje nam się przecisnąć między nimi. Dzieciarnia gania wśród stoisk, czmycha spod końskich kopyt. Nasz woźnica przeklina, unosi bat. Chciałabym, żeby zwolnił, bym mogła podziwiać porcelanę, miedziane garnki, rzeźbioną kość słoniową, bele czerwonego i złotego jedwabiu. Zaledwie wczoraj, w Rarep, dreptałam po lokalnym targu między workami z rzepą i kłatkami z rozwrzeszczanym ptactwem.

Kołyśmy się na kocich łbach i w końcu zatrzymujemy na południowo-zachodnim krańcu placu, gdzie woźnica zeskakuje z kozła. Wesołek szarmancko odbiera kosz z rąk staruszki, po czym pomaga jej wstać. Mnie także podaje dłoń i pomaga zejść na ziemię. Czy powinienam go poprosić, aby odprowadził mnie pod dom malarza?

Młoda dziewczyna z rozpuszczonymi włosami pojawia się znikąd, wesołek obejmuje ją ramieniem w talii, wyciska całusa na jej wargach i tyle ich widziałam. Ciżba zamyka się za nimi.

Stoję przy wozie z tobołkiem przy piersi. Dwaj mężczyźni mówiący z dziwnym akcentem rozładowują skrzynki z marchwią i burakami prosto na sanie. Wokół śmigają służące – każda z twarzą okoloną czystym lnianym czepek, w odprasowanym białym fartuchu. Na zgiętym przedramieniu niosą koszyki z pieczywem, ceberki z rybami. Ja łokcie kubraka mam przetarte, a moja bielizna, choć czysta, dawno już zszarzała. Pieter nie raczył mi powiedzieć, jak ubierają się kobiety w Amsterdamie. Zresztą nawet gdyby to zrobił, nie mam lepszego odzienia.

Jakiś mężczyzna stojący obok piramidy z klatek wyjmuje z jednej żółciutkie kurczę i podtyka mi je pod nos, mówiąc coś, czego nie rozumiem. Kręcę głową i pośpiesznie odchodzę.

Trafiam do alejki kupców korzennych, stragany po obu moich stronach mienią się jaskrawożółtą, ceglastą i cynamonową zawartością koszy. Gdy któryś pomocnik przecina worek z pieprzem, w powietrze unosi się chmura gryzących drobinek, wywołując łzy w oczach i katar w nosie. Wyrostek śmieje się na widok mojej skrzywionej miny. Pragnę złapać mocniej tobolek i uciec z tego miasta, pobiec prosto do Rarep, powiedzieć Pieterowi i Marit, że zostanę u nich i będę się opiekować ich dzieckiem, gdy już przyjdzie na świat, nie oczekując w zamian nic poza dachem nad głową i miską stawy.

Zapach smażonego śledzia sprawia, że cieknie mi ślinka, przez co przypominam sobie, iż dzisiaj jeszcze nic nie jadłam. Wokół przekrzykują się przekupnie, ciągną mnie za rękawy, nieomal się potykam o starszkę doglądającą rusztu. Dociera do mnie apetyczna woń naleśników. Z kieszeni wyciągam kilka stuiverów*, które dostałam od Pietera.

* Stuiver (nid.) – srebrna, później miedziana moneta niderlandzka o wartości 2 groszy flandryjskich, będąca odpowiednikiem niemieckiego stübera, bita od końca XV w. do 1809 r.; w XVII w. została przyjęta do systemu monetarnego Zjednoczonych Prowincji Niderlandów jako $\frac{1}{20}$ guldena, $\frac{1}{6}$ szylinga, równa 4 duitom lub 8 fenigom.

Naleśnik jest mięciutki i złocisty, ocieka roztopionym masłem. Szybko kupuję drugiego, po czym znajduję wyczyszczone z mchu schodki, żeby na nich przysiąść i zjeść w spokoju. Wspominam w duchu wskazówki brata. Rozglądając się, wypatruję lśniącego kurka na wieży budynku, który biorę za Zuiderkerk*.

Już chcę się zbierać, gdy pada na mnie cień. Drogę zastępuje mi łachmaniarz z jednym okiem zaciągniętym bielmem i całym zaropiałym. Pochyla się nade mną wsparty o lasce i mówi coś prośbą tonem. Zrywam się na nogi, strącam jego dłoń i pośpiesznie oddalam się w stronę świątyni. Na skraju placu jednak przystaję zawstydzona. Pieter mówił, że w Amsterdamie od lat nie było zarazy, a trędowaci, którzy wkraczają do miasta, są zobowiązani nosić kołatki dla przestrogi. Starzec nie zagrażał mi w żaden sposób. Ale zanim wybiorę palcami monetę dla niego i wrócę po swoich śladach, żebraka już nie ma.

Może tylko go sobie wyobraziłam? Niepokoi mnie łomot serca w piersi. Czmycham z placu, byle dalej od kłębiących się tłumów, od prośbownika. Mijający mnie ludzie nie zwracają na mnie uwagi, przez co boję się, że powoli znikam, roztopiam się w chłodnym porannym powietrzu. Zatrzymuję się na moście, aby odzyskać oddech, mocno łapię żelazną balustradę. Gdy ją puszczam, zauważam, że na dłoniach mam rdzę – wygląda jak zaschnięta krew. Odrywam spojrzenie od własnych rąk i docieram do końca mostu. Wtedy, tak jak zapowiadał Pieter, moim oczom ukazuje się dom malarza.

* Zuiderkerk – dosł. kościół południowy; XVII-wieczny protestancki kościół w Amsterdamie, w dzielnicy Nieuwmarkt.



Idąc wzdłuż Breestraat*, podziwiam jaskrawoczerwone okiennice rozwarte na boki i odsłaniające okna złożone z dziesiątek migoczących szybek. Dom jest przysadzisty, ale liczy kilka kondygnacji, z czego najniższa to suterena. Ponieważ wejście umieszczone jest pośrodku, budynek zdaje się rozpierać wśród sąsiadów, spychać ich swoją wspaniałością.

Do zielonych drzwi frontowych, na których wisi żelazny lew z wypolerowanym kółkiem w paszczy, prowadzą cztery stopnie. Wyobrażam sobie, że się po nich wspinam, ujmuję kołatkę i stukam głośno, brudną ręką matując metal. Nie dotknę go jednak; Pieter wyraźnie przykazał mi, abym zapukała od kuchni.

Zawracam w stronę kanału i posuwając się jego brzegiem, szukam wylotu zaułka, który poprowadzi mnie na tyły kamieniczek. Nad wodą dokazują chłopcy; jeden z nich podrywa wędkę z kłębem szmat na haczyku. Gdy macha nim przed twarzami pozostałych, ci odskakują, piszcząc z uciechy; muszę ich wyminąć, jeśli nie chcę się z żadnym zderzyć. Akurat wtedy mokry łach opada na kocie łby z plaśnięciem i widzę, że to nie szmaty, lecz martwy ptak, który zdążył się zacząć rozkładać.

* Breestraat – ulica w południowej części Amsterdamu.

Od strony zaułka odkrywam solidne tylne drzwi, które muszą należeć do domu malarza.

Tuż przed tym, zanim stracę nadzieję, że moje pukanie usłyszano w środku, otwiera mi jasnowłosa dziewczyna lat około siedemnastu.

– Geertje? – pyta mnie, nie tając ciekawości w głosie ani spojrzeniu. Bierze się pod boki i lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów. Jej uwadze z pewnością nie umyka ani łata w dole spódnicy, ani nieodpasowane guziki kubraka. – Nie spodziewałam się, że będziesz taka stara.

Czyżbym już znalazła się na cenzurowanym? Mam trzydzieści trzy lata, a Abe leży w grobie od ponad siedmiu, ale Pieter powiedział malarzowi, że jestem świeżo owdowiałą dwudziestopięciolatką.

– Wejdz. – Gdy dziewczyna się uśmiecha, w policzkach jej ładnej, sercowatej twarzy powstają dołeczki.

Odpręgam się. Takiej młódce dwudziestopięciolatka jawi się leciwą matroną.

– Zaczekasz tu z nami – dodaje, kiedy stoję za progiem.

– Powinnam zobaczyć się z panią.

– Później. Nocami dławi ją w piersi, dlatego w dzień często odpoczywa.

Kuchnia jest duża, z łupkową posadzką i długim dębowym stołem, przy którym pracuje odwrócona do nas plecami kobieta. Pod przeciwległą ścianą stoi pompa, z której dzióbka do kamiennego zlewu kapie woda. Obok ciągnie się szereg sięgających talii kredensów, których blaty rozjaśnia rząd okien z widokiem na wewnętrzny dziedziniec. Pod drugą ścianą rozpiera się piec, a także ruszt z rozległym paleniskiem, na którym buzuje ogień. Kobieta przy stole zwraca ku mnie zmizerniałą twarz, kiwa płytko i wraca do przerwanej zajęcia; tasakiem odcina nogi oskubanej kury.

– To Maartje, kucharka – objaśnia dziewczyna. Następnie ujmuję mnie za łokieć i prowadzi do pieca, przy którym w koszu śpi półtroczone

niemowlę. – Cieszę się, że już przyjechałaś. Bałam się, że i to umrze pod moją opieką. Bo wiesz, wszystkie poprzednie umarły.

Sięga po dzban stojący na rozgrzanej płycie i napełnia wodą fajan-sową misę, którą później kładzie na stole. Z kredensu bierze czystą szmatkę i kawałek mydła oliwnego.

– To twój jedyny czepek? Będziemy musiały znaleźć ci lepszy. Na razie włóż to. – Wskazuje fartuch wiszący na kołku.

Zdejmuję kubrak i odwieszam go przetartymi rękawami do ściany. Fartuch pachnie świeżością. Ktoś zadał sobie trud i wjechał czubkiem żelazka w każdą pliszkę. Przeszedłszy do stołu, podkasuję rękawy aż za łokcie i zanurzam przedramiona w ciepłej wodzie, aby umyć ręce i twarz. Obok Maartje porcuje drugą kurę; wzdrygam się za każdym uderzeniem tasaka.

Gdy już jestem czysta, zbliżam się do koszyka i dotykam niemowlęcego czoła. Chłopiec śpi, buzię ma zarumienioną od ciepła.

– Jak się nazywa?

– Tytus. Czwarty z kolei.

Becik jest lepkki. Próbuję uwolnić kocyk z zaciśniętej piąstki, lecz chłopiec nie poddaje się nawet przez sen.

– Czy matka go karmi?

– Przestała. Zagląda tu mamka, ale mały jest nienasycony i woli kleik.

– Zbyttno się zgrzał. – Odsuwam koszyk od pieca.

– Pani mówi, że ma być trzymany w cieple – oponuje dziewczyna, choć zarazem pomaga mi w dźwiganiu. Nie spuszcza jednak oka z twarzy niemowlęcia, jakby się spodziewała, że to w każdej chwili może zacząć protestować.

Tytus gaworzy, wierci się, po czym znów uspokaja. W wyszywonym kaftaniku, nakryty obrębianą frędzlami chustą przywodzi mi na myśl afektowaną staruszkę. Kiedy mówię to na głos, dziewczyna się śmieje.

– Poczekaj – rzuca. – Zajmę się jabłkami, żeby Maartje nie miała powodów do narzekania.

Siadam na zydlu plecami do pieca i przyglądam się śpiącemu niemowlęciu, licząc, że wkrótce się obudzi. Dziewczyna nalewa cienkiego piwa z dzbana stojącego na stole i wręcza mi kubek.

– Jeśli zachce ci się pić, nabierz sobie wody z beczki w piwnicy, nigdy prosto z pompy. – Wróciwszy do stołu, zabiera się sprawnie do obierania jabłek. – Gdzie się urodziła? – pyta, lecz zanim zdążę odpowiedzieć, zniża głos do szeptu: – Pani udaje surową wobec nas, ale jest niefrasobliwa jak młode dziewczę, jeśli tylko pan ma dobry humor. Sama pochodzi z Fryzji, z lepszej rodziny od niego, z Uylenburghów.

– Niedomaga od połogu?

Dziewczyna ucieka wzrokiem.

– Dłużej. Myślałyśmy wszystkie, że to dziecko ją zabije, zanim zdąży się urodzić. Jej kasłanie budzi chłopca, dlatego będzie spał w izdebce na górze razem z tobą.

Między piecem i zbitymi z deszczulek drzwiami prowadzącymi do reszty domu znajduje się *bedstede**. Być może to Maartje śpi w kuchni. Teraz rozdrabnia coś tłuczkiem, miarowo poruszając ramieniem. W rezultacie powstaje drobny czarny proszek, którym posypuje wyporcjowaną tuszkę, by wetrzeć go w skórę. Jej grube palce masują ciało, a ja czuję bezpodstawne ukłucie strachu. To przez żar bijący od pieca i przez tę dziewczynę, która gada o śmierci.

Paplając dalej, młódka trąca kosz i Tytus się porusza. Cmoka, rzuca głową i zaczyna płakać. Kiedy biorę go na ręce, jest rozgrzany i wilgotny. Pręży się w moich objęciach, odwraca ode mnie. Powietrze wypełnia nieprzyjemna woń.

– Potrzebna mi miednica. I szmatki – mówię.

– Ilse! – odzywa się Maartje, nie przerywając nacierania.

* *Bedstede* (nid.) – typowo holenderskie miejsce do spania w postaci szafy zamykanej drzwiami lub zasłoną, wbudowanej w boazerię pomieszczenia.

Ilse marszczy nos, ale przynosi mi żądane rzeczy. Zmieniam niemowlęciu pieluchę, ono jednak płacze jeszcze głośniej.

Ilse zerka na wewnętrzne drzwi.

– Bo pani usłyszysz...

Wkrótce Tytus wtula się we mnie, zaspany i zadowolony.

– Polubił cię – stwierdza Ilse.

Główka dziecka opada. Gładzę je po plecach i cicho nucę mu kołysankę, którą śpiewałam malutkiej Katrijn Beets w Hoorn, czując nostalgię za swoim dawnym życiem i za dziećmi, które kochałam jak własne. Trzymam chłopca pewnie jedną ręką, drugą odgarniając mu blond włoski. Samotność doskwierała mi jak lis gonionemu kurczęciu, ale tutaj, w ciepłej kuchni malarza, wracają mi siły vitalne. Niemowlę rozbudza w moim sercu dawno zapomniane uczucia.

– Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy – mówię do Ilse, gdy Tytus zasypia.

Dziewczyna w odpowiedzi ściska mi przedramię.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś, Geertje.

Zbliża się Maartje, wycierając brudne dłonie w fartuch, który zakrywa jej suknię. Choć jest niewiele starsza ode mnie, ramiona ma zgarbione, a na twarzy nosi ponury wyraz. W pewnym momencie otwiera usta, charczy i splotuwa w ogień masą flegmy.

Ilse upuszcza nóż, a gdy ten spada na kamienną podłogę, Tytus się wzdyga, cały napina i uderza w płacz.

W oczach dziewczyny maluje się strach. Uśmiecham się tyleż do niej, co do niemowlęcia, by uspokoić oboje. Ona jednak na mnie nie patrzy. Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem, które pobiegło do drzwi – ku stojącej w progu kobiecie.